

Wywiad: Na ścieżkach Męczenników

O parafii w Pariacoto opowiada misjonarz o. Rafał Dryjański, który spędził tam pierwsze lata swojej misyjnej pracy.

Pariacoto - miejsce to kojarzy się tak nierozzerwalnie z męczennikami franciszkańskimi... Jak ich historia i dawna obecność wpływa na ludzi, na parafię, na świadomość społeczeństwa?

Można powiedzieć, że wpływa zarówno pozytywnie jak i negatywnie. Zależy jak się na to spojrzy, bo chyba zawsze są dwie strony medalu.

Pozytywnie przede wszystkim dlatego, że nasi męczennicy w Peru, w Pariacoto, wszystko rozpoczęli i dali podwaliny do dalszych działań. To także zasługa sióstr, które zrobiły bardzo dużo, bo były tam od 1970 roku. Można powiedzieć, że one przygotowały całe podłoże duszpasterskie i grunt pod ewangelizację, a później pojawili się tam franciszkanie. Trzeba przyznać, że bardzo dobrze weszli w to środowisko. Warto też to zobaczyć, że był to czas gdy w wioskach położonych wysoko w górach (parafia Pariacoto obsługuje 73 wioski) nie było żadnego księdza. Jeśli już przyjeżdżał, to raz do roku na fiestę (święto parafialne - przyp. red.), ale brakowało go na co dzień. Również z tego powodu wielu ludzi przeszło do różnych sekt tzw. kościołów ewangelickich. Co ciekawe, gdy franciszkanie przybyli do Pariacoto i ludzie zobaczyli, że jest wśród nich ksiądz, który częściej przyjeżdża, odwiedza ich w domach, spędza z nimi czas i rozmawia, jakoś od razu przypomnieli sobie, że są katolikami i wrócili do Kościoła. To było niesamowite. Męczennicy potrafili także nawiązać kontakt z bardzo zamkniętymi ludźmi z gór. Ta ich bliskość z ludźmi była naprawdę wyjątkowa. I ludzie właśnie to sobie cenią. Wielu z nich ich wciąż pamięta i wspomina nie tyle treści, które głosili w kazaniach, ale właśnie to, że byli u nich w domu, rozmawiali z nimi, pomagali im. To była taka prosta obecność i ona była ich wielką zaletą.

Negatywne jest natomiast to, że niektórzy katechiści i ludzie zaangażowani w parafię, stale żyją przeszłością, w jakiej żyli i pracowali męczennicy. Nie mają jednak na uwadze tego, że czasy się zmieniły. Sama miejscowość Pariacoto też się rozwinęła i zmieniła. Nawet oni sami, ludzie i parafianie, też są inni. Czasem więc ta współpraca może być trudniejsza, bo misjonarz jest stale porównywany i oceniany.

Wspomnił Ojciec, że ludzie gór są bardziej zamknięci...

Tak. Na początku są nieufni i tylko przyglądają się człowiekowi. Czasem się z tego śmiejemy, ale oni naprawdę mają jeszcze gdzieś w sobie dość ciekawe spojrzenie na białych ludzi... Jeden z naszych braci musiał nawet kiedyś uciekać, bo wzięli go za Pichtaco, czyli w ich wierzeniach, złego ducha, zawsze kojarzonego z białym, wysokim człowiekiem - gringo. Duch ten przychodzi zawsze, żeby coś ukraść, kogoś zabić, zabrać czyjeś serce... To są ich wierzenia pozostałe jeszcze z dawnych czasów. Pewnego razu o. Vincenty wracając z gór, przechodził przez jedną z wiosek, a ludzie zaczęli krzyczeć „Pichtaco, Pichtaco” i za chwilę inni czekali na niego uzbrojeni. Historia ta wydarzyła się bodajże w 1997 roku, a więc wcale nie tak dawno...

Ludzie gór na początku są nieufni wobec każdego. Muszą najpierw popatrzeć, posłuchać, poobserwować. Grób o. Zbigniewa w kościele parafialnym w Pariacoto Nie od razu otworzą białemu drzwi i nie od razu będą chcieli z nim rozmawiać. W moim przypadku było łatwiej, bo na początku jeździłem w góry do wioski z o. Stanisławem Olbrychtem. On tam już jest „swój”, wszyscy go bardzo dobrze znają, bo pracuje tam od wielu lat. Gdy pojechałem pierwszy raz w góry, to on mi towarzyszył

i wprowadzał mnie w daną wioskę. Zapowiadał ludziom, że następnym razem przyjadę sam i mówił: „proszę go nie brać za Pichtaco” (śmiech). Wszyscy zaczęli się śmiać i od razu też inaczej mnie tam przyjmowali. Na początku jednak też nie bardzo chcieli ze mną rozmawiać, patrzyli nieufnie. Zawsze byłem u nich tylko chwilę i szedłem dalej. Tak było przez pierwsze dwa lata, a później już mówili o mnie „Ten Padre, to jest nasz”. Teraz, dokąd bym nie pojechał to wszędzie ludzie mnie znają, lubią i zapraszają na mszę. Nie tylko wierni z naszej parafii, ale także z innych.

Z czego wynika ta nieufność? Społeczeństwo wciąż się boi po tych latach walki ze Świetlistym Szlakiem?

Nie, chociaż Pariacoto jest na terenie, na którym te wszystkie walki były wzmożone... Tak naprawdę trudno tu mówić o walkach. W górach, powyżej Pariacoto członkowie Świetlistego Szlaku mieli swoje poligony i tam ćwiczyli. Ten teren mieli więc praktycznie opanowany. Ludzie się im nie przeciwstawiali, bo to groziło śmiercią. Mimo, że od tego czasu minęło sporo lat, ma to jednak wpływ na mentalność mieszkańców. Niektórzy ludzie - szczególnie starsi - wciąż się boją. Ciągłe żyją w jakimś strachu i to można zauważyć. Panuje wśród nich nieufność, chociaż tam większość wie, kto jest kim, bo to są małe wioski i wszyscy się znają. Ciągłe są jeszcze zastraszeni.

Jak w Pariacoto wyglądała praca duszpasterska?

Praca w Pariacoto to temat złożony, bo teren parafii rozciąga się na 73 obsługuwane przez nas wioski, więc trudno też mówić o jakiejś systematycznej pracy duszpasterskiej i katechetycznej. Staramy się, jak możemy. Gdy tam pracowałem, było nas tylko dwóch, więc czasem po prostu nie dało się tego wszystkiego ogarnąć. W samym Pariacoto, jako w centrum parafii, spotkania duszpasterskie najczęściej organizowaliśmy w soboty i w niedziele. Podobnie działało to w Yautan. Liczyliśmy też bardzo na pomoc świeckich, również na nauczycieli w zwykłych szkołach. Przez jakiś czas przygotowywałem tych wierzących nauczycieli do pierwszej komunii, więc rozmawiałem z nimi, przygotowywałem im materiały, które służyły do przygotowania religii w ramach obowiązkowych zajęć szkolnych. Mimo że przeznaczone są na nie dwie godziny w tygodniu, nauczyciele najczęściej nie przeprowadzali katechezy, tłumacząc, że nic nie wiedzą, nie mają materiałów, i ten czas wykorzystywali na przykład na matematykę. W temat oczywiście wpisywano religię, ale rzeczywistość była inna. Próbowaliśmy więc to stopniowo zmieniać. Co jakiś czas, raz w miesiącu odprawiałem w szkole mszę świętą. Dzieci uczyły się śpiewu, a podczas homilii słuchały katechezy. Podczas niej starałam się im przekazać podstawowe prawdy wiary.

Jak wygląda sprawa niedzielnego uczestnictwa tych ludzi we mszy świętej? To chyba raczej trudne do wykonania?

To prawda. Ci ludzie są po prostu zwolnieni z obowiązku bycia w niedzielę na mszy świętej. Inaczej się nie da, nie mają tej możliwości. Kapłan po prostu nie jest w stanie co tydzień tam dojechać. Niektóre wioski mają taką możliwość tylko raz na pół roku, inne raz w miesiącu. To tak naprawdę zależy od wioski i od jej położenia. Te większe wioski mają mszę w każdą niedzielę - Cochabamba, Yautan, Cachipampa, niektóre co dwa tygodnie...

W Pariacoto msze święte odprawiamy oczywiście w każdą niedzielę, ponieważ to centrum parafii. W takich większych wioskach staramy się być przynajmniej raz w miesiącu. Bo trzeba zaznaczyć, że niektóre są bardzo małe, mieszka w nich około 20 osób. Tam niestety dojeżdżamy raz na pół roku lub nawet rzadziej.

Czy istnieje duże zagrożenie ze strony sekt?

Istnieje. Może nie jakieś ogromne, bo czasem może niepotrzebnie się to wyolbrzymia. Sekty to

najczęściej - nawet katolicy tak to nazywają - takie „firmy” ewangeliczne, działające na zasadzie dziesięciny. Najczęściej szybko się pojawiają i równie szybko znikają. Tak, jak obserwuję to na naszej ulicy, wiele zależy od tego, który nawołuje ludzi i od ilości zrobionych przez niego „cudów”. Dziwnym trafem, zawsze ilekroć przyjeżdżali do Pariacoto i wołali, że będą uzdrowienia, to rzeczywiście uzdrawiali, ale zawsze tę osobę, która z nimi przyjeżdżała... Nie kogoś z wioski, z tego miejsca, tylko zawsze kogoś z nich.

Obserwuję, jak na terenie naszej parafii, sekty pojawiają się i znikają. Była taka jedna wielka grupa, do której przeszło wielu ludzi, ale gdy ich widziałem ostatnio, mieli już tylko trzy osoby. Oni chodzą z jednego miejsca do drugiego, tak naprawdę nie jest to nic trwałego. Przy okazji swojego nawoływania „do nawrócenia” mówią też bardzo złe rzeczy o nas, o katolikach. Pracując w Pariacoto, widziałam jednak, że z naszej ulicy zniknęła większość sekt. Myślę, że również w tym widać owoce naszej pracy, bo ludzie odchodzą do sekt czasem dlatego, że nie mają księdza, formacji w parafii... W Pariacoto jest widocznie inaczej, bo gdy sekty nas widzą, szybko się wycofują. Być może wiedzą, że nie mają tam czego szukać. To dobry znak.

Czy w pobożności Peruviańczyków można wciąż znaleźć odniesienia do tradycyjnych wierzeń?

Tak, to widać chociażby na przykładzie organizowanych przez nich fiest ze świętym, podczas których obecne są też elementy pochodzące z wierzeń pogańskich i przeszłego kultu. Trochę tradycji hiszpańskiej, trochę andyjskiej... Tworzą oni czasem taki synkretyzm, wykorzystując również elementy katolicyzmu. Tak jest na przykład w przypadku tzw. obrzędu K'oa - ofiary dla Pacha Mamy (Matki Ziemi). Najpierw odbywa się poświęcenie domu, a potem tradycyjne palenie różnych rzeczy na ofiarę dla matki ziemi. Składana ofiara zawiera symboliczne elementy, takie jak tabliczki wykonane z cukru z wizerunkami roślin i zwierząt, nasiona roślin, zasuszone rozgwiazdy, liście koki, muszelki, słodczyce czy rodzyнки. Taki „zestaw” spala się na rozżarzonego węgla drzewnym, albo na ognisku, odmawiając specjalne modlitwy, często łączone z wezwaniami chrześcijańskimi.

Czy pamięta Ojciec jakąś szczególną przygodę związaną z pracą w Pariacoto?

Pewnego razu po odprawionej mszy świętej, ok. godziny 22:00 wracałem z jednej wioski. Od jakiegoś czasu panowała tam susza, a miałem już takie doświadczenie, że gdy mieszkańcy modlili się o deszcz, to często mnie wołali, aby się razem z nimi modlić. Jakoś tak to Pan Bóg sprawiał, że najczęściej jak już tylko przyjeżdżałem do tej wioski, podczas mszy świętej zaczynało padać. Tak stało się również wtedy - spadł oczekiwany i upragniony deszcz. Dla nich była to wspaniała informacja, dla mnie niestety nie, bo musiałem jeszcze wrócić do siebie. Gdy zaczęło padać, to droga, którą jadę najkrócej, zrobiła się wodnista i gliniasta, tak, że bardzo trudno było przez nią przejechać. Tak się dzieje na tych górskich, andyjskich drogach. Czasem nawet nie widać, czy jest się jeszcze na drodze, czy już nie. Trzeba jechać wtedy bardzo powoli i uważać, aby nie popełnić jakiegoś, nawet najmniejszego błędu. To dla kierowcy bardzo męczące. Czasem lepiej już jechać dookoła, dłużej, ale bezpieczniej. Bo bywa i tak, że gdy deszcz podmyje ziemię, może się zwałić jakaś część góry i w ogóle zablokować drogę. Właśnie wtedy przez taką sytuację musiałem wracać do siebie jadąc prawie 11 godzin i nakładając 300 km.

Dzięki Bogu, po drodze spotkałem wielu ludzi, którzy mi pomogli. Byli bardzo gościnni. Oni, gdy już zapraszają na obiad, naprawdę starają się przyjąć człowieka jak najlepiej. Czasem dają tyle jedzenia, że ciężko to przejeść - cały talerz ziemniaków i do tego ich andyjski przysmak - pieczona świnka morska.

Rzeczywistość misyjna dostarcza wielu momentów, w których człowiek może doświadczyć naprawdę niesamowitej Opatrzności Bożej.

Rozmawiała Agnieszka Kozłowska

więcej wywiadów na stronie www.misje.franciszkanie.pl